

Kosztowne kłopoty architekta

O problemach naszego budownictwa pisze się często. Sprawami tymi interesuje się żywo społeczeństwo — przecież brak mieszkań daje się nam dotkliwie we znaki, mimo że budujemy coraz więcej. Ale czy nie można by budować szybciej i taniej? I tutaj, jako człowiek od wielu lat związany z budownictwem, chciałbym zaprezentować do kompetentnych czynników o zwrócenie uwagi na pewien nie załatwiony problem, który nam — architektom i budowniczym — daje się ciągle we znaki, utrudniając w znacznej mierze pracę, przysparzając jednocześnie gospodarce narodowej niepotrzebnych, a wysokich kosztów.

Mam na myśli brak jednolitego, dostosowanego do naszej obecnej sytuacji — prawa budowlanego.

Istniejące dotychczas prawo nie dotrzymało kroku przemianom w budownictwie okresu powojennego. Gorzej: przypomina olbrzymi labirynt, w którym naprawdę, nietrudno zabić.

Jak wygląda, z czego się składa obowiązujące dziś prawo budowlane?

Gdy po I wojnie światowej „Polska wybuchła”, trzeba było dobrać co słabykować; zaczęli więc prawnicy z ówczesnego Departamentu Budownictwa zastawiać taką satelkę prusko-austriacko-rosyjską i nazwali to „polskim prawem budowlanym”. Do 2 to mów przepisów dodał dalsze 3 to mów komentarzy, które z kolei uzupełniano nowymi komentarzami. Inne resorty również dorzuciły swoje instrukcje i okólniki. Wszystko to właściwie obowiązuje do dziś, mimo że w tej powodzi zna-

leż można „perełki” inicjatywy osławionego Stawoja!

Nie mogły tego chaosu uporządkować instrukcje i okólniki, wydawane już po II wojnie. Po pierwsze: nie pochodzą z jednego źródła, po wtóre zaś — liczba ich pobita wszystkie rekordy. Bowiem oprócz Ministerstwa każdy resort wydawał swoje instrukcje — oczywiście pod katem do-raznym, nie bacząc na sąsiedów. To wszystko spadało na nasze biedne głowy jak lawina, i bez przesady daje się dziś liczyć już na metry kubiczne!

Ktoś nieobznajomiony z naszą pracą może się zdziwić, że tak wielką przykładam wagę do tego problemu. Posłużę się więc przykładem.

Mówi się często, że nasze budownictwo pod względem stosowania nowych materiałów budowlanych — jest zapóźnione. Rzeczywiście — z wielorakich przyczyn będziemy musieli jeszcze poczekać na chwilę, kiedy będziemy mogli posługiwać się np. masami plastycznymi. Ale i bez tego projektowanie napotyka na znaczne trudności, jako że obowiązujące przepisy normatywne są zapóźnione nawet wobec tego, czym już obecnie dysponują projektanci. Normy te ograniczają się prawie wyłącznie do cegły; jeśli architekt zamierza zastosować prefabrykaty (np. pustaki betonowe) — może na próżno szukać norm na te materiały. To z kolei opóźnia dokumentację, a ponieważ wszystkie sprawy związane z budownictwem są bardzo pilne — najczęściej rozpoczyna-

się roboty bez kompletnej dokumentacji. Nic dziwnego, że później wyskakują różne niespodzianki — trzeba wprowadzać poprawki, kuć na nowo dopiero co ukończone mury. Przechodnie, widząc tego rodzaju poprawki psioczą — na kogo? Jasne: na architekta.

Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że nagminny już u nas proceder rozpoczęcia budowy bez kompletnej dokumentacji — co najmniej w 50 proc. wypadków pociąga za sobą poprawki i przeróbki, na których państwo traci wielomilionowe kwoty, a które — z drugiej strony — nie mogą zadowolić użytkowników, jako

że prowadzone są z pośpiechem (inne budowy czekają, plan nagli). —

Prześledźmy

dzienniki budowy — zobaczymy, ile kosztują te wieczne utarczki z brakami dokumentacji...

Oprócz braku stałych, ujednoliconych norm, nader dotkliwie daje się nam również we znaki brak urbanistycznych planów perspektywicznych.

Odbija się to w podobny sposób na naszej pracy. Architekt projektuje dom, ale nie wie, jak będzie wyglądała ulica, przy której dom ten stanie. Nie wie, jak ustalić wysokość cokołu (poziom pomieszczeń mieszkalnych), krawężników i kolektora. W większości wypadków musi improwizować. Jeżeli się pomyli — lokatorem tego domu w przyszłości woda będzie zalewała piwnice...

Brak kompletnych planów perspektywicznych odbija się ujemnie również w innym,

szerszym aspekcie. Chodzi o niwelowanie różnic w zabudowie miast, które to różnice, pochodzące jeszcze z czasów zaborów, są bardzo znaczne (wystarczy porównać taki np. Uniejów z każdym innym miasteczkiem wielkopolskim). Warto się więc nad tym zastanowić dzisiaj. Zwłaszcza, że nie jest to tylko sprawa przyszłego pokolenia. Warszawa ma swój plan i choć miastu temu daleko jeszcze do jednolitego profilu urbanistycznego, wiadomo tam mniej więcej, jak budować. Jak jest w innych, zwłaszcza małych miejscowościach? Jeżeli trzeba będzie wybudować tam fabrykę — architekt znów stanie przed wielką niewiadomą. I trudno mu będzie ustrzec się od dżwolągów, nie związanych funkcjonalnie ani z tym, co było, ani z tym, co będzie.

Reasumuję: pilną koniecznością jest ustawowe opracowanie prawa budowlanego, odpowiadającego dzisiejszej rzeczywistości i technicznemu stopniowi rozwoju naszego budownictwa, prawa, obejmującego i kodyfikującego dotychczasowy chaos przepisów, prawa, kładącego kres kosztownym tymczasowości. Należałoby spieszyć przystąpić do utworzenia sejmowej komisji, która zajęłaby się tym problemem. Konieczne jest również opracowanie całościowego planu rozbudowy w skali nie wyrywkowej, lecz ogólnokrajowej, oczywiście z uwzględnieniem specyfiki poszczególnych rejonów.

O tych sprawach mówił się już od dawna — m. in. na zjeździe urbanistów w r. 1957. Sprawa jest pilna i ważna, każdego niemal dnia tracimy z tego powodu grubo pieniądze. Wolam zatem w imieniu architektów: „caveant consules!”

Mgr inż. arch.

Kazimierz MAYER



Letnia idylla

Na przedpolach Grunwaldu 548 lat temu

WWWW

Czy wiecie, że pierwszy od czasów Cezara strategiczny most pontonowy w Europie — zbudowano w Polsce?

Polska wieku XV nie miała dobrze zbudowanych dróg lądowych; nieprzebyte puszcze starodrzewu, bagna i rozlewiska rzeczne stanowiły zapory nie do przebycia w miesiącach wiosennej i jesiennej p'uchy. Inaczej przedstawiała się sytuacja w Prusach. Po wymordowaniu rdzennej ludności Krzyżacy osadzili tam chłopów polskich, przede wszystkim Mazurów. W obawie przed Litwinami, a także przed Polakami, Zakon przetrzebił puszcze Prus i osuszał bagna. Na terenie Prus i innych ziem za garniętych przez Zakon łatwo mogły się poruszać nie tylko karawany kupców lecz również ciężkozbrojne rycerstwo. Stan dróg dawał Zakonowi Krzyżackiemu wielką przewagę nad rycerstwem polskim i litewskim, bowiem chorągwie Zakonu mogły w niedługim czasie przetrześć się z miejsca na miejsce.

Zdawał sobie z tego sprawę Jagiełło, jego brat — Wielki

Książę Litewski — Witold, do wódca polskich chorągwi — Zyndram z Maszkowic i inni wodzowie, których Jagiełło po wołał do Rady Królewskiej. Rada debatowała nad zaskoczeniem Krzyżaków.

Wkrótce kilka tysięcy drwali ciężko starodrzewu puszczy kozienskiej, pokrywającej Ziemię Kielecką. Kuto nie tylko pancerze dla rycerstwa, lecz także potężne haki. Szkutnicy i „wodni ludzie” budowali w Ziemi Sandomierskiej potężne łodzie. Było ich kilkaset; jedne wypełniono drewnianymi balami które miały stanowić pomost, inne zawierały koły i liny, służące do wiązania łodzi.

Zbliżało się lato pamiętnego roku 1410. Czerwiec wysuszył ziemię. Ciężka konnica mogła wyruszyć. Krzyżacy pewni, że wojska polskie nie przędko zdążą przebyć promami wezbraną wiosennymi wodami Wisłę, ociągali się ze ściąganiem chorągwi pustoszących Żmudź i usiłujących rozgromić Litwinów Witolda.

— Cicho bądź — upominał go Holm.

— Wprawiam się — rzekł Vendt. — Czy nie wiesz, że mam występ francuski?

— Każdy ma swój występ — odparł Holm, urażony. — Zapominasz o moim kwartecie smyczkowym i cymbałkach.

Poczmistrzini zasłoniła sobie usta, by nie parsknąć śmiechem.

Długo się sprzeczali, tak że sala ponownie zaczęła się niepokoić. Wówczas harmonijkarzowi kazali zagrać „Iliadę”.

— Co to jest? — zapytał grajek.

— Najognistszy twój marsz — powiedział Holm — Marsz Bismarcka. Karel wystąpi z tobą i zanuci do muzyki.

Karel tłumaczył się, że niedawno ochrzczony, nie może nucić takich świeckich szopek.

— Dobrze, ale to jest marsz, a nie żaden taniec, to jest prawie psalm! — Namówili go, dali mu jeszcze jeden kieliszek, i ostatecznie powędrował na scenę.

Zdobyli szalone brawa. Młodzieńcy znali melodię marsza, znali swego grajka i śpiewaka, i na ławach w takt podrygując, zachowywali się hałaśliwie.

— Teraz ja idę! — oznajmił Vendt wyprężając się.

— Myślę, że teraz mogłaby być ostatecznie na mnie kolej — odezwał się Holm.

— Apres moi! — rzekł

(Ciąg dalszy na str. 2)

W tym czasie flotylla „wodnych ludzi” opuściła swe miejsce w okolicach Koziens. Nim ciężkozbrojne rycerstwo polskie przybyło pod Czerwińsk, gród położony na północ od ujścia Bugu, na Wiśle stał już wielki, pontonowy most.

Tylko dwa dni trwała praca wojsk polskich, które po połączeniu z wojskami Witolda zdążyły szybko na Malbork. Wielki Mistrz Zakonu musiał wysłać tylko te chorągwie do boju, które stały najbliżej. Malbork został całkowicie ogołocony z załogi.

Pod dwiema wioskami: Tanenbergiem i Grunwaldem spotkały się dwie armie: Krzyżacka była liczebnie słabsza: wojska pustoszące Żmudź nie zdolały przybyć na pole bitwy...

Pięćset czterdzieści osiem lat temu, 15 lipca 1410 przesądzone zostały losy zaborczego Zakonu; Jagiełło zmiażdżył Krzyżaków. Z podziwem mówiono w Europie o zwycięstwie oręża polskiego. O moście jednak było cicho. Jagiełło nie zdradzał swych tajemnic. Dopiero w kronice Długosza czytamy, że „...wojsko przeszło suchą nogą po moście zbudowanym przedziwną sztuką przez ludzi wodnych naszego Królestwa, waleń przyczyniających się do zwycięstwa...”

Andrzej CZARSKI

W sali nudzono się już cały kwadrans; panowie spojowali co chwila na zegarek i z miejsca do miejsca szedł pomruk, że byłby już czas zacząć.

Nareszcie ukazał się harmonijkarz, dwudziestoletni chłopak wiejski, spokojny i swobodny, przywykły grać do tańca. Na środku sceny stał stolik z dwoma krzesłami; chłopak od razu się zorientował w sytuacji, usiadł i zaczął grać pieśń znaną w jego okolicy. Wcale nieźle, coraz lepiej, dwa dobre basy. Przyjaciele jego wioskowe, znajdujący się na sali, towarzyszyli mu raźnie śpiewem. Gdy skończył, kilku z młodzieży próbowało nieśmiało klaskać, ponieważ jednak mikt ich nie podtrzymał, strwożyli się i zawstydzili.

Następnie wystąpił z mową hotelarz Vendt, ale nieszczęśliwie. Powinien był usiąść przy stoliku i opowiedzieć jakąś gawędę, ale on stał. We fraku wyglądał elegancko, ale powinien się być lepiej spisać. Vendt i znajomości spraw społecznych? O walce klasy robotniczej i abstynencji, o sztuce teatralnej i żeglarskiej? Vendt polityk i mędrzec? Oczywiście nie rozwodził się nad każdym z tych tematów, ale okrażał je z bliska i zachacał o nie. Najgorszy nie był, raz po raz zdobywał się na komizm i wtedy śmiali się sędzia i pastor, ale ostatecznie każdy by potrafił wygłosić taką mowę. Po upływie piętnastu minut przerwał i opuścił scenę.

Knut Hamsun

A ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

A kiedy ktoś zaklaskał, odwrócił się i resztę drogi ze sceny odbył już idąc rakiem. Są jednak ludzie, którzy mimo wszystko cieszą się sympatią. Hotelarz Vendt zszedł ze sceny tak ładnie.

Numer trzeci programu wypełnili dwie płyty gramofonowe, ponieważ pani poczmistrzini zdenerwowała się i prosiła o przesunięcie jej występu. Dziwna rzecz, ona, jedyna w całym zespole zawodowa muzyczka, miała okropną tremę. Ale i to małe przesunięcie w programie na nic jej się nie zdało, organizatorzy byli bezradni.

— Wobec tego zrobmy pierwszą przerwę — radził Vendt. On i aptekarz stali w kącie przy butelkach.

— A może bym ja teraz zaśpiewała — odezwała się Gina z Roten.

— Doskonale, Gino, zrób to! — prosiła poczmistrzini.

Oznaczało to jednak, że i aptekarz musiałby wystąpić jednocześnie z gitarą, a do tego brakło mu ochoty. Na domiar miał palec chory, partricie, wrzodziaczka na palcu. A czybyś ty, Karel, nie mógł wtórować Ginie?

— Dobrze — odparł Karel — jeśli pan uważa, że podob-

Publiczność w sali zaczęła się już niepokoić i głośno rozmawiać. Gdy jednak ukazała się na scenie Gina z mężem, od razu się wszyscy uciszyli. Usiedli oboje na krzesłach po obu stronach stolika.

Znano ich śpiew z kościoła i zebrań religijnych. Ona wyglądała dziś trochę sztywno w zielonym staniczku spiętym na piersiach i w spodnicy odświętnej, w której niegdyś niosła siano, a której na dziś sobie pożyczła. Strój wywołał dobre wrażenie, był to strój wieśniaczki z gminy południowej. Daj jej, Boże, zdrowie, uratowała sytuację; Vendt poczęstował ją przedtem jednym i drugim kieliszkiem i dobrze jej to zrobiło.

Aptekarz Holm był parę razy w Roten, by ją trochę poduczyć, ale ona niewiele z tej nauki rozumiała; przytakiwała na wszystko, co powiedział, i stale manewrowała przy swej spodnicy, jakby ją co gryzło. O nauczaniu się ballady, pieśni miłosnej, ani słuchać nie chciała; niedawno przecie przyjęła drugi chrzest, więc śpiewać może tylko psalmy. W śpiewie uczona nie była, ale za to miała pierś i gardło, ho ho.

Karel zaczął brzdąkać. Nie umiał grać, ale harmonizował, z mizernej gitary wydobywał

dźwięki muzyczne. Następnie zaczęła Gina, i gitara nieomal przepadła. Zdawał się mogło, że sam Bóg w niebiesiech wspiera ją w tym śpiewie, tak że gitara przepadła z krete-sem.

Jedna zwrotka, druga zwrotka, trzecia zwrotka, ale pieśń miała dziewięć zwrotek. Gina śpiewała już piątą i wcale nie myślała przerwać. Ale wtedy podniósł się w pierwszym rzędzie ławek pastor, pochylił się naprzód i poprosił ją, by prze-cie trochę wytchnęła.

— Oszczędź trochę głosu dla następnego psalmu! Śpiewasz, Gino, ładniej niż człowiek w ogóle!

— Tak! Święta prawda — odezwał się na sali głosy przywrtarzające.

Gina dziękowała z uśmiechem i zaśpiewała dwie zwrotki in nego psalmu. Po czym w myśl uprzedniego upomnienia Holma zeszła wraz z mężem ze sceny.

Pierwsza przerwa.

Występ poczmistrzini. Oczywiście mistrzowski. Burza oklasków. Wróciła ze sceny szczęśliwa jak dziecko.

— Nie przypuszczałam, że mi się uda — powiedziała śmiejąc się i zarazem płacząc.

Vendt tymczasem tyle się namanewrował przy butelkach, że już głośno jął pośpie-wywać.

(Dokończenie ze str. 1)

Vendt nieustępliwie, czując się w świetnej formie.

— O, Boże — szepnęła poczmistrzyni w chwili wyjścia Vendta — on gotów wypłoszyć całą publiczność!

Rozległ się jego śpiew *Je suis à vous, Madame*. Do diabła, co on robi! Co prawda, w pierwszym rzędzie siedzi Gordon Tidemand, który umie po francusku i rozumie każde słowo piosenki, ale melodię nikt na pewno nie poznał. Głos stał się kłusujący, niekiedy brzmiał jak struna dobrze nastrojona, gdy nagle załamywał się i brzęczał niby słabo naciągnięty drut mosiężny. Trzeba było specjalnego talentu, by zaprodukować taką kakofonię. Vendt oczywiście nie uświadamiał sobie tego, jak śpiewa, a kiedy skończył, publiczność tupiała i klaskała. Oklaski te wziął za dobrą monetę. Klaskali, chyba dlatego, by dać pozór, że rozumieją po francusku, mimo, że francuski uważali za język kelnorów i lokajów. Vendt podziękował i dumny powrócił do pokoju artystów. Odtąd już bardzo zadzierał nosa.

— Co teraz? — padły pytania.

— Przerwa — oświadczył Vendt.

Po przerwie ponowny występ poczmistrzyni. Pozbyła się już tremy, swobodnie weszła na scenę i cudownie zagrała Mozarta. Zdobyła znowu owacyjne oklaski i zszedłszy ze sceny westchnęła:

— Najchętniej byłabym dalej grała.

Spojrżeli na zegarki: minęło już półtorej godziny.

Vendt i aptekarz kręcili się znowu koło butelek, nalewali do kieliszków i pili, częstowali innych i znowu sami pili, i znowu częstowali siebie i innych.

— Nie, dzięki! — powiedziała Gina śmiejąc się i stała się bardzo wesoła i uległa. A kiedy aptekarz namawiał ją do zastąpienia ostatnich dwóch psalmów pieśniami miłosnymi, zapytała się męża, co on na to. Hm, Karel dostał także kieliszek i uznał, że może zaśpiewać pieśnię miłosną.

Zaczęła nucić: „Wietrzyku mój zachodni, leć i skargę mą lubemu nieś...”

Ponieważ skarga narzeczonej marynarza składa się z czternastu zwrotek, przeto stanęło na tym, że Gina zaśpiewa tylko tę jedną pieśnię. Przy czym Holm dodał:

— Zobaczysz, jak będą oklaskiwać, wariować będą. Potem odwrócisz się, by wyjść, ale oni w dalszym ciągu będą klaskać. Wtedy wysuniesz się znowu na środek sceny, rękę trochę w górę podniesiesz i nastanie cisza. I wtedy, Gino, będzie czas na twoją melodię „zwolnienia krów”, zrozumiano?

Gina szczerząc zęby pyta:

— A czy to wypada? — I jak jeszcze! Będzie to niezrównanym zakończeniem dzisiejszego twojego programu. Ale musisz tak udawać, jak gdybyś wieczorem na wzgórzu stała i zwolnywała krowy.

Publiczność powitała ich z zadowoleniem, po czym na-

Przeczytaj „Czeczene”

Nie bez powodu okolicznościowa gazeta, wydana przez Wydawnictwo Ogólnopolskiego Komitetu „Dni Morza”, otrzymała nazwę „Czeczene”. Wyraz ten, to staropolska, onomatopieczna nazwa morskiej fali.

24-stronicowy numer „Czeczene” zawiera bogaty materiał — związany z zagadnieniami polskiego morza. Z ciekawych materiałów wymienić warto m.in.: artykuł pt. „Tradycje morskie Słowiańszczyzny”, opowiadanie „Na brzegu”, szereg wiadomości o polskiej żegludzie, portach i rybołówstwie, artykuł znanego pisarza-marynisty poznańskiego, Jerzego Pertka pt. „Pionier podwodnej żeglugi” itp. „Czeczene” zawiera ponadto szereg ilustracji, reprodukcji i wspomnień z okresu ostatniej wojny, nie brak i... morskich humorów. W sumie jest to wydawnictwo, z którym winni zapoznać się wszyscy sympatycy polskiego morza i naszej floty.

„Czeczene” jest do nabycia (cena 3,— zł) we wszystkich zarządkach powiatowych LPZ oraz w Poznaniu — w zarządkach dzielnicowych i w składnicy wojewódzkiej przy ul. 27 Grudnia 6. (V)

stała cisza. Gina zaczęła śpiewać i powtórzył się cud, jakkolwiek tym razem była to tylko skarga narzeczonej marynarza, ale za to miała w sobie tyle słodyczy i żałości. Nikt teraz Gini nie przerywał, nikt nie namawiał jej do wychnienia; jedni wzięli na ambici i uśmiechali się, inni poklaskali. Czternaste zwrotek o miłości, wszystkim dobrze znanych — młodzi pieścili w sercu błogie słowa pieśni, starcy wspominali sobie, jak to drzewiej... drzewiej...

Holm dobrze przewidział, ludziska klaskali, jakby zwariowali. Gina już ze sceny schodziła, lecz oni klaskali, wróciła więc, podniosła rękę, i od razu się uśmiechnęła. Czekali na coś i oto przyszło: Śpiew, który szedł na świat, od wzgórza na całą wioskę, pieśń bez słów, bez słów, ale niby kaskada urocznych dźwięków — Gina zwolnywała krowy.

Zebrani uważali to za zakończenie wieczornicy. Również i teraz rozległy się oklaski, wszyscy wstali, zmierzając ku wyjściu, lecz wciąż jeszcze klaskali. Niekiedy zatrzymali się przed drzwiami zajęci rozmową.

Tymczasem Vendt i aptekarz kićli się między sobą i doprawdy niewiele brakło, a byłoby doszło do srogiej awantury. Ale koniec końców, byli przecie przyjaciółmi i krajanami z Bergen, więc wnet się pogodzili.

Vendt początkowo tłumaczył aptekarzowi w sposób nader grzeczny:

— Ależ posłuchaj tylko, ja się tam chwalić nie chcę, możesz mi wierzyć, ale po tym powodzeniu, jakie mnie dziś spotkało, chciałbym ci odrazić, rozumiesz, myślę, że jeśli Gina zaśpiewała już swoją pieśnię końcową, to nie widzę powodu, ażebyś ty...

Holm jest urażony, ba do żywego dotknięty:

— Domyślam się, o co tobie idzie. Po prostu nie chcesz dopuścić do tego, ażebym ja wystąpił.

— Ależ nie, kochasiu, zrozumiałeś całkiem fałszywie!

— No, no, nie gadaj, widziałem to od samego początku. Wziąłem na siebie taki mały tylko numer: kwintet smyczkowy i cymbałki, ale tyś mi i tego pozazdrościł, bałeś się, ażebym ciebie nie zgasił...

— He? — wyrwało się Vendtowi.

— Tak jest, mówię ci to otwarcie. Zazdrościsz mi tych burzliwych oklasków i wszelkich tych braw, których tobie nie dano.

— Dosyć tego, niech publiczność sama nas osądzi. Chciałem ciebie uchronić, ale skoro tak, to idź, idź na scenę i płacz potem nad sobą.

— Teraz — syknął Holm — nie, teraz śpiewa Gina, a potem jest koniec wieczornicy.

— Koniec? — pyta się Vendt. — Dlaczego? — Wydobył z kieszeni fraka mały śpiewniczek i oznajmił: — Mam tu znacznie więcej!

— Nie wątpię, ja też mam więcej, ale...

Vendt mruczy:

— No, no, zobaczmy!

— Nie, teraz już nic nie zobaczmy. — Holm jest zdruzgotany, przekreśla swój numer w programie.

Na to wzrusza się Vendt:

— W ogóle nie ma mowy o zakończeniu, i teraz dam ci satysfakcję. Ty i ja, wejdziemy razem i wystąpimy chóralnie.

— Chóralnie?

— I śpiewać będziemy na wysięli.

— Czy nie poszedłbyś sam?

— zapytał Holm.

— Nie, wystąpimy chóralnie.

Nie baczył, że sala już opustoszała, że zaledwie kilka osób stało przy drzwiach. Na nie nie zważał, porwany jedynie swoją myślą, i po drodze przetrząsał kartki śpiewniczki aż do końca, a nie znalazłszy, przetrząsał znowu od początku.

— Siadaj! — rozkazał Holmowi.

Usiedli po obu stronach stołu, lila na środku sceny.

— Nie mogę znaleźć — rzekł Vendt. — Wobec tego alfabet musi nam zastąpić tekst pieśni.

— Do pioruna! — zaklął Holm. — Alfabet?

Vendt od razu zaczął śpiewać, darsi się jak oszalał. Było to coś tak potwornie strasznego, że porównać by to można chyba tylko z nim samym. Holm jął mu towarzyszyć i ryknął parę potężnych tonów, ale w zawodach z Vendtem nie oślał się, a poza tym też nie był tak haniebnie niemuzyczny.

Wśród tych, którzy zatrzymali się przy drzwiach, znajdował się i pastor.

— Toć oni pijani — powiedział. Mimo to nie wyszedł, przeciwnie, usiadł.

Oczywiście, byli pijani. Śpiewali z książeczki spoczywającej na stoliku, jak gdyby nie znali na pamięć alfabetu. Co za widowisko!

Ludziska zaczęli się śmiać, wybuchali śmiechem coraz głośniejszym pastor zaśmiewał się tak samo jak inni. Bo jakże się tu nie śmiać? Tekst piosenki różnił się bądź co bądź od zwykłej liryki, zwłaszcza że składały się nań litery w porządku alfabetycznym. I jeżeli przy tym w ogóle wyciągnęli z siebie jakąś melodię, to pochodziła ona z tego samego źródła przerażającego bezwstydu, co muzyka jazzu. Nie było tu jednak w żadnym razie nic rozrywkowego, żadnego naciągactwa, był to po prostu śpiew improwizowany pod przewodnictwem głosu Vendta. Nie chodziło bynajmniej o żart, była w tym powaga i naturalność. Obaj pijani zapominali coraz bardziej o tym, gdzie się właściwie znajdują.

Po literze „o” Vendt zaczął się rozrzucać i aptekarz,

stosując się do niego, również bardzo się rozczulił. Ludziska przy drzwiach śmiali się do rozpuku, jęczeli i wyli po prostu ze śmiechu. Śpiewacy stawali się jak najlepiej wywiązując się ze swego zadania, każdy z nich miał jedną rękę wolną — ten prawą, ów lewą, — ręką tą wykonywali ruchy dowolne, gdy śpiew przechodził w tonację kłiwosci i rzewności. Koniec alfabetu zaśpiewali tak, jakby zawarta w nim była nieopisana rozkosz, a przy tym już jak grochy leciały im z oczu.

Pastor również płakał, ale od śmiechu.

Zakończywszy swój występ, Vendt zamknął śpiewnik i schował do kieszeni, wstał i zszedł ze sceny krokiem mocno zygawkowatym. Aptekarz ścisnął go wzrokiem, widocznie uświadamiał sobie niejasno, że ludzie stoją jeszcze we drzwiach, więc pragnąc ratować sytuację, wziął drzwi na cel i w prostej linii ku nim się rozpedził.

Sala opustoszała teraz zupełnie. Na miejscu popisów pozostały już tylko stolik i dwa krzesła. Ale poza salą wciąż jeszcze rozbrzmiewały śmiechy:

— Ach, te wariaty! — powtarzali sobie powracający z wieczornicy.

— Tak — odparł pastor Ole Landsen — ale my popełniamy rzeczy często stokroć gorsze od zwykłego rozmieszania bliźnich.

Fragment jednego z rozdziałów powieści Knuta Hamsuna pt. „A życie toczy się dalej”, którą przygotowuje do druku Wydawnictwo Poznańskie.



MARCELLA HILDEBRANDT - PRUSKA

Rozmawiamy na tle renesansowych wnętrz mieszkalnych, urządził je z prawdziwym smakiem przez Józefa Kaliszana, z którym często współpracuje twórczo lub... gotuje wspólnie obiad. Do „rodzinki” tego mieszkania należą jeszcze: 19-letnia najbliższa przyjaciółka Wanda (córka), kulawy „Arkan” (pies) oraz „Charlotte”, „Niua” i „Seto” (koty).

P. Marcella jest zaprzeczeniem (fałszywego zresztą) sądu o artystach. Jest przeciwieństwem matki, sama zarabia na życie i dom, wychowuje córkę, sprząta, gotuje, a ponadto pracuje twórczo. Praca choreografa wymaga wysokiej kultury, smaku i znajomości nie tylko spraw tańca i baletu, ale również psychologii, muzyki, plastyki i... życia. Dostojnie setki prób, studiowanie koncepcji całości układu oraz każdego gestu i ruchu; cierpliwość i umiejętność pracy z różnymi osobowościami i indywidualnościami tancerzy — wszystko to w sumie szalenie wyczerpuje.

Zwłaszcza przy skali zainteresowań zaczynającej się od rytmiki i zabaw tanecznych z dziećmi w wieku przedszkolnym (jest kierowniczką Ogniska Baletowego), a kończącej na układach tanecznych najnamakomitszych tancerzy. Między innymi za „Humoreskę” Ekiera według jej u-

Cheśmy zaznajomić bliżej Czytelników „Nowego Świata” z ludźmi ze środowiska kulturotwórczego naszego miasta i Wielkopolski. Żyją, działają i tworzą oni współcześnie. Każdy z nich w jakiś sposób wzbogaca i kształtuje współczesne życie kulturalne Poznania i Wielkopolski.

Kolekcjonerem i kustoszem „galerii” jest Czesław Kubalik.

kladu — Konrad Drzewiecki otrzymał I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Tańca w Vercelli we Włoszech w 1956 roku.

P. Marcella jest bodajże jedyną w Polsce znawczynią dawnych tańców. Odkrywcza i pionierska była też jej praca w Studio Dawnej Muzyki i Tańca w Poznaniu w charakterze choreografki. Repertuar Studia w zakresie tańca opiera na bogatym, dawnym folklorze ludowym, z którego wyszukała dawno zapomniane tańce, „chodzone” i „gonione”, komedie sowiżdralską i inne ciekawe pozycje.

W pracy swej łączy więc z jednej strony umiłowanie renesansu i odrodzenia oraz innych starożytności, z drugiej zaś — najnowocześniejszych, współczesnych układów. Tak więc w jej twórczości choreograficznej znajdziemy „Toccattę” lub „Fugę d-moll” J. S. Bacha, układy dawnych tańców pol-

skich i tańców polskiego odrodzenia, obok „Popołudnia fauna” Debussyego, „Suiety kolorowej” Niekrasowej. A przecież właściwie nie ma żadnych prawie materiałów archiwalnych z dziedziny choreografii i innych form przekazywania — w szczególności zaś — tradycyjnych, dawnych tańców.

Od ósmego roku życia p. Marcella kształciła się na... skrzypaczkę w konserwatorium u prof. Jahnkego w Poznaniu. Zawsze jednak „ciągnęła” ją do tańca i już jako dziecko układała i improwizowała tańce. Poważnie zajęła się jednak tańcem dopiero od 1926 roku po studiach u prof. Wiechowiczowej w Poznaniu, kontynuowanych w latach następnych u Kratiny i Rosalii Chladek w Laxenburgu (Wiedeń) oraz u Maiana Pontana i Doris Phalphen w Paryżu. Przed wojną występowała jako solistka na scenach Paryża i Berlina, poza tym odpoczywała południe Francji, Kolonii i Bonn. Po wojnie p. Marcella poświęciła się wyłącznie pracy pedagogicznej i choreograficznej, współpracując z licznymi teatrami i zespołami całej Polski: Częstochowa („Gromiwoj” — Arystofanesa), Łódź („Żywy Józef” — Mikołaja Reya), Lublin, Gniezno itd. Zapewne nierzaz jeszcze będziemy oglądać jej ciekawe układy trudnej sztuki choreografii.

książkowego pierwszeństwa może czytelnika nieśluszenie zniechęcić do dalszej lektury. Tymczasem właściwa, dobra książka zaczyna się na stronie 25 jednym z najlepszych opowiadań jakie kiedykolwiek Prorok napisał — groteskową „Ulicą Szymona Pysia”. Pysia cierpi z powodu monumentalności, którą narzucił mu przeznaczeni współziomkowie z burmistrzem Trzaskiem na czele. Pysia nie jest, oczywiście, monumentalny, ale zgodnie z dialektyką, jaka przyswalała np. pegeerowskiej dziewczynie wypowiadać się w imieniu kobiet całego świata, wypada mu z etapową pokorą znieść wszelkie tortury popularności, mimo, że nie lubi patosu i tablicę uliczną swojego imienia skłonny jest skromnie traktować jako „wyraz pełnej idei własnego dzieła”. Problem „Ulicy Szymona Pysia” w sferze autopsji sprowadza Prorok w opowiadanie „Kometa”. Rzeczywistość burmistrza Trzaski dopełnia tu bogate w drobne i głupie konflikty życie rodzinne sąsiadów. Pysiem staje się nieoczekiwanie jakiś tam Pysia — artysta; zaś to, co może być w życiu rozsądne, bo sceptyczne, uosabia dziecko — Ewa. Ewa jest pretekstem do ośmieszenia „noblowych” perypetiów myślowych Pysia — artysty, jako że ów Pysia — artysta oglądając co wieczór coraz to niknący ogon komety, pięknie się rozczula nad przemianami czasu; wreszcie — do ośmieszenia Pysia — artysty jako artysty właśnie, przesadnie zdającego się wierzyć w trafność swojej wyobraźni.

I w „Ulicy Szymona Pysia” i w „Komecie” porzucił Prorok kanon beznamietnej, poprawnej relacji, pokazał świat krzywego zwierciadła, gdzie ludzie mają bardzo ogromne tułowie i maleńkie główki. Jest to w dotychczasowej twórczości autora „Ziarna kłokolu” moment nowy i cenny.

Tradycyjną natomiast, ale udaną próbą doskonalenia warsztatu pisarskiego w kierunku prozy psychologiczowanej, proponującej zagadnienia moralne, jednostkowe konflikty etyczne — są opowiadania „Bajka warszawska” i „Zmarnowane widzenie”. „Bajka” szcze gólnie cenna jest z dwóch względów — zakładając, że autentyzm relacji jest wartością nie podlegającą dyskusji — po pierwsze: sprowadza problem Donata z „Ziarna kłokolu” w rejon racjonalizmu, a więc wytrąca z rąk interpretatorów tej powieści klucz Dekalogu po drugie — mimo swej tradycyjnej formy, obrazuje ciekawą ewolucję Proroka w kierunku prozy skrótowej, esencjonalnej i, co ważniejsze, intelektualizowanej. Znamiennym przykładem będzie w tym wypadku zakończenie brulionowego opowiadania „Zmarnowane widzenie”. Próba końcowego niedopowiedzenia, postawienia pytańka zamiast kropki, na skutek nagłego odeskoku w refleksję nie jest jeszcze udana; nie idzie mi wszakże o odnotowania sukcesu, lecz o aprobatę dla poszukiwań. Dostrzegam je także w „Obrączce” i „Tragedii antycznej” z cyklu „Suita w tonacji moll”.

Wolałbym jednak, żeby treści tych nowelek były bogatsze niż zwykła miejska plotka, żeby surowy, reporterski styl, jakim są opowiedziane posiadał znamiona artystycznej celowości. Ale to są już nieobowiązujące postulaty dla kolejnej, trzeciej — po „Ziarnie kłokolu” i „Suiety w tonacji moll” — autentycznej książki Leszka Proroka.

M. GRZESZCZAK

Leszek Prorok: „Suita w tonacji moll”. Wydawnictwo Poznańskie Poznań 1958. Obwolutę i okładkę projektował Zbigniew Kaja.

DZIEDZICTWO PROMETEUSZA

Jesteśmy już w drugiej połowie XX-go wieku, a z najnowszymi zdobyczami nauki i techniki dzieją się dziwne rzeczy. Nasza nauka i nasza technika mają charakter niebezpiecznie ezoteryczny — przynajmniej w określonych ośrodkach kulturalnych, a przy tym wysoce unaukowionych. Owoce ich bardzo jeszcze często są domeną stosunkowo nielicznych grup społecznych. Wielkie, nowoczesne siły społecznych, socjalistycznych demokracji i uprzejmych myślicieli z wielkim trudem wywalczają upowszechnienie nauki i techniki. Istotnie wielkie masy ludzkie trują jeszcze na tym samym poziomie moralnym i intelektualnym, na jakim się znajdowały na długo przed wystąpieniem nowych prądów społecznych.

Kiedy studiuję się dzieje rozwoju techniki, a więc i najważniejszej bodaj ze wszystkich — energetyki, można by sądzić, że tylko jednostkom wzgl. małym grupom elitarnym, zawdzięczamy postęp. A przecież coś w tym się nie zgadza, skoro społeczność te jednostki i grupy wydała i oni podobno jej służą. Prometeusz ofiarował ludziom ogień, on jeden — ale wszystkim ludziom, olimpijczykom na przykład. I też nie nauka i technika winę za zgrzyty ponoszą, ale ekonomika zbyt egoistycznie realizowana.

Lecz nie o tym chcieliśmy gawędzić, a o podstawie wszelkiego postępu, o energetyce i jej dziejach. Bardzo pobieżnie zresztą naszkicowanych.

Na początku był ogień

Był to pierwszy proces chemiczny wykorzystany przez człowieka i jego największe odkrycie. Na przestrzeni 500.000 lat! W czasach prehistorycznych tylko ognisko dawało energię, nie znano ani węgla czy olejów palnych, nie przeczuwano mocy kryjącej się w falach rzeki. Otwarte ognisko, może jakiś prymitywny piec, i to wszystko. Przy ich pomocy otrzymywano pierwsze stopy metaliczne, z czasem żelazo. Siła człowieka i zwierząt to pozostałe źródła energii. Przez setki tysięcy lat, przy pracy i w walce. Komunikacja wykorzystywała też tylko łódź wiosłową czy wypaloną z pojedynczego pnia, z czasem nauczone się budować wozy.

Długo były oddechy budzącej się techniki. Nie wiadomo nawet dokładnie jak to lub tamto zlokalizować w czasie. Nic więc dziwnego, że bez większego ryzyka możemy zacząć od razu mówić o zdobyciach w zakresie energetyki okresu rzemiosła cechowego, który chyba trwał mniej więcej do XIV wieku.

Można, patrząc z naszego punktu widzenia, lekceważyć dorobek tych ludzi. Byłoby to jednak krzywdzące i niemiędrze. Chodźmy się dłużej aniżeli skakać. A więc jest postęp: koło podnośne i wodne, są i oleje roślinne w lampkach oliwnych. Poza tym wykorzystywano już — jako źródło

K. Kapitańczyk

energia — wiatr, łój i torf. Natomiast uderza ciągle jeszcze brak sposobów przekazywania energii, jej przenoszenia. W zakresie wykorzystywania energii notujemy, obok pieca i pochodni smołowej, a dalej kierał, wiatrak i młyn wodny. Na morzach nad polyskującymi w słońcu mokrymi wiosłami galer wykłuta żagiel.

W okresie „rzemiosła” zaczęły zresztą kłócić się siły, które wydały na świat „manufakturę”. Jej żywotność przeciągnęła się mniej więcej do roku 1775. W tym to czasie dzieją się już rzeczy zgoła rewolucyjne; ostatecznie rewolucja techniczna przygotowuje i rewolucję polityczno-społeczną. Węgiel kamienny jest już wykorzystywany jako paliwo, co więcej — w końcowej fazie tego okresu zabkująca przeróbka chemiczna węgla kamiennego daje koks. Fabryki buduje się wtedy często nad brzegami rzek, wykorzystując energię bieżącej wody. Zjawia się też pierwsza forma przekazywania energii: pierwotny kocioł parowy. Fizyce konstruuje też pierwsze maszyny elektryczne.

Ujarmienie energii pary wodnej

Produkcja przemysłowa dysponuje także nowościami. Pierwszą maszyną parową atmosferyczną buduje w r. 1700 Savery. Wprawdzie nie spełniała nadziei w niej pokładanych, lecz dzieło uruchomienia użytkowej maszyny parowej jest bardzo bliski. Dodajmy i motywy chemiczny — pierwszy piec koksowniczy rozpoczyna pracę w r. 1735.

Nietrudno zauważyć, że kolejne nowe okresy rozwoju techniki są coraz krótsze. Tempo wzmagania się coraz bardziej. Toteż historycy kultury materialnej skłonni są nazywać nadchodzący odcinek „okresem przemysłu do roku 1770”. Jak wszelkie podziały i to szufladkowanie jest mniej lub więcej umowne. W każdym razie zauważamy szeroki rejestr źródeł energii, coraz doskonalsze sposoby jej przekazywania oraz uszlachetnione metody wykorzystania.

Obok węgla kamiennego wykorzystuje się zatem i węgiel brunatny. Ich chemiczna przeróbka dostarcza gazu. W r. 1827 Fournierou buduje swą turbinę wodną, 1849 r. Francis — jej odmianę dośrodkową. Wśród paliw dochodzi do znaczenia ropa naftowa (1859 r.), której rafinację zapoczątkowano na wielką skalę w roku 1887.

W zakresie przekazywania energii notujemy: kocioł parowy z rurami płomienicowymi (1800 r.), kocioł opłomkowy z parownikami (1840 r.). Pierwszy piec gazowy (sztuczne paliwo!) zaczyna pracować w 1804 r., pierwsza gazownia w Anglii rusza w r. 1891. To było na początku okresu, a zakończył go Siemens budując dynamo i motor elektryczny.

I gospodarstwo domowe awansuje, korzysta coraz częściej z nowoczesnych paliw i źródeł ener-

gii. Powszechnie używa się węgla kamiennego, a w roku 1823 uruchomiono pierwsze ogrzewanie centralne. Oświetlenie naftowe, gazowe czy elektryczne szybko po sobie następują. Druga połowa zeszłego wieku zlikwidowała więc głód światła.

Człowiek odrywa się od ziemi

Park maszynowy rozwija i usprawnia się także coraz lepiej: Watt buduje swą maszynę parową w r. 1777, pierwszy młot parowy uruchomiono w 1838 r., silniki gazowe konstruuje Lenoir (1860) i Otto (1867). Dalej wymieniamy już tylko: kocioł parowy płomienicowy na koks Corta (1783), konwertor Bessemera dla wyrobu stali (1855), koksownie ogrzewane własnym gazem (1856). Pomijamy litanie ciekawostek. Trzeba jednak zauważyć kolej żelazną (Stephenson — 1825), która jednym zamachem obniża kosztą transportu do połowy. Wcześniej nieco (1807) Foulton buduje pierwszy parowiec, pierwszą śrubę okrętową zakłada się w r. 1829.

Niepostrzeżenie wielki przemysł chemiczny i mechaniczny (są z sobą coraz organiczniej powiązane) wchodzi w okres utrwalania się kapitalizmu sprzed I wojny światowej. Wymienianie poszczególnych sukcesów techniki według ich ważności staje się coraz trudniejsze.

A więc źródła energii: brykietowanie węgla kamiennego i brunatnego, turbina wodna Peltona (1880), pierwsza elektrownia wodna (1892), turbina wodna Kaplan (1912), otrzymywanie benzolu na skalę techniczną (1883), podwyższenie wydajności benzyny z ropy i uzyskanie olejów pędnych.

Ruszy mechanizacja (1900), koksółki Auera do lamp gazowych (1885), gazyfikacja gazem koksowniczym większych obszarów (1905), żarówka Edisona (1879), pierwsza linia elektryczna (1891), pierwsza wielka elektrownia (1898), synteza kwasu azotowego (Birkeland-Eyde; Mościcki — 1905), synteza amoniaku (Haber-Bosch — 1910). A w związku z tymi postępami: produkcja żarówek o włóknie metalicznym i kucharki gazowe (1905), pierwsze silniki elektryczne (1883), turbina parowa Laval’a i Parsona (1883—85), silnik Diesla (1897), pierwsze obrabarki i organizacja produkcji towarów masowego użycia, tramwaje elektryczne (1881), samochód Daimler-Benz (1886), seryjna produkcja samochodów H. Forda (1903), elektryfikacja kolejnictwa, szybkie parowce o napędzie turbiny i motorowe zasilane ropą, bracia Wright i Zeppelin — człowiek odrywa się od ziemi!

Ogień musi płonąć

Mówić o tym, co nadeszło później, jest zbędne. Zresztą o czym najpierw? Bo czy wiele da nam wymienianie takich, choć kapitalnych szczegółów, jak stosowanie pyłu węglowego, jako paliwa, chemiczna przeróbka węgla, proces krakowania, synteza benzyny (Bergius i Fischer — Trosc), wykorzystanie gazu ziemnego, gazyfikacja całych krajów, kombinaty energetyczne, kucharki elektryczne i ogrzewanie zdalne, upowszechnienie napędu elektrycznego, coraz powszechniejsza elektryfikacja kolejnictwa, samoloty wielomotorowe i odrzutowe, śmigłowce, sztuczne księżycy...

Może ktoś zarzucić, iż takie wymienianie to bardzo mało mówiące postępowanie metodyczne. Oczywiście, lecz nie o to chodzi. Ważne jest to, iż zdominowania energetyki stanowią klucz do całej nowoczesnej kultury materialnej. Bo koniec końcem, zagadnienie zważa się do sprawy źródeł energii, do otrzymywania coraz doskonalszych i coraz ekonomiczniejszych paliw.

Ogień był nie tylko na początku. Ogień musi płonąć. Gdy zgaśnie — zgaśnie życie i postęp!

Jak to drzewiej



na wakacje jeżdżono

Przed pół wiekiem zamiast „wczasy” mówiło się po prostu — „wakacje”. Dyskutowano nad tym publicznie i prywatnie od maja. Dzienniki pełne były reklam uzdrowisk i letnich wycieczek. Mieszczuch był oszołomiony. Liczył pieniądze: kolej, nowy kostium dla żony, kosztą pobytu... Pisma humorystyczne miały nowy temat: wakacje urzędnicze, wyjazd żony i słomiane wdowieństwo.

Dzisiejsze wczasy nie są już taką nadzwyczajnością. Wyjeżdża bez porównania więcej ludzi niż przed wojną, a także sama forma zmieniła się. Dawniej jechało się kilku furami z zapasami, pościelą, niejednokrotnie z meblami, z kurami i indykami. Był to niecodzienny korowód.

Znakomity karykaturzysta Franciszek Kostrzewski pozostawił nam sporo karykatur, przedstawiających wyjazd i pobyt na letniskach.

Zamożni jeździli do zagranicznych „badów”. Kronikarz lwowski J. Słotwiński opisuje, jak to jeździło się do Karlsbadu (Karlove Vary) i na Węgry do Badyowa. Owa moda na zagraniczne węgierskie i czeskie uzdrowiska rozpoczęła się z końcem XVIII wieku i doszła do szczytu w roku 1799, kiedy to zaczął rokrocznie wyjeżdżać za Karpaty generał ziem podolskich, książę Adam Czartoryski ze swoim dworem. Wyruszał z Sieniawy pod koniec maja, dążąc na Łańcut, Pilzno i Duklę w to-



warzystwie Ignacego Potockiego i Jacka Fredry, słynnego w koloryzowaniu i przypowieściach, równie ciekawych jak kłamiwych.

Rej wodził w tej wesołej kompanii nadworny lekarz Czartoryskiego, świetny medyk Goltz, który poważnie twierdził, iż chcąc w Polsce być zdrowym, nie należy używać doktora i apteki, lecz dwa razy do roku porządnie się upić: w czerwcu lub lipcu wodą mineralną, a w październiku — winem.

Z czasów nam już bliższych mamy o wakacjach relacje niejakiego pana St. M. Rzątkowskiego („Tygodnik Ilustrowany” z czerwca 1883 roku). Piszę on o Warszawie:

Na bruku miejskim snują się co wieczór tłumy w beznadziejnej przechadzce, ziewając i przypatrując się sobie. Są to wszyscy ofiary nieszczęśliwego obowiązku i golizny, dla których zieleni pól, świeże powietrze i woń borów istnieje tylko w snach. Wybrańcy losu czmychnęli na tak zwane letnie mieszkania, aby używać swobody wiejskiej, przysiluchiwać się gęganiom gęsi, gdać kur i pobrzekiwać trzódki, stanowiącej nieodłączną przynależność sielanki. A sielanka... czy istnieje naprawdę? I tu Rzątkowski skarży się na spekulację i chciwość gospodarzy, bo za lichą stancyjkę setkami rubli, jak powiada, trzeba płacić, pić sjaśzowane mleko, kupować na wagę złota jarzyny i dać się obdzierać wszystkim.

Mylił się taki letnik, że za rogatekami będą go witać chle-

bem serca i solą gościnności. Lokalik z dwóch pokojów złożony opłacać trzeba dwoma setkami rubli i to w okolicy pustej, pozbawionej środków komunikacyjnych i spożywczych. Gdy przyjdzie śniada, leżąc ci za kołnierz, wieje ze wstyd, a ty siedzisz i czekasz zmiłowania bożego, bo wiesz, że ci nikt z pociechą, radą i pomocą nie przyjdzie.

Ładnie musiało się nalać czcigodnemu panu Rzątkowskiemu za kołnierz, skoro tak pisze.

A oto wyjątek z innego pamiętnika wczasowicza, napisanego przed 50 laty we Lwowie.

2 LIPCA. Deszcz pada, jak wyżej bez ustanku. Rzeczka wzbiera, żona z przeziębienia i wilgoci zapadła na malarię, ja mam okropny katar...

10 LIPCA. Dziś tak samo deszcz pada, jak dotychczas. Całą noc spędziłem pod gołym niebem, bo zdawało się, że rzeka zabierze chałupę. Górale mówią, że wypogodzi się za trzy tygodnie.

16 LIPCA. Wróciliśmy do miasta. Obliczyłem pobyt na letnim mieszkaniu. Kosztowało to mnie 365 koron i 27 halerczy. Poldzia leczy się u Prusa, ja i żona chodzimy do Gluzińskiego.

A jak odbywała się podróż do Krynicy „matki wód naszych”, jak nazywano to od dawna w Polsce znane uzdrowisko?

W. Szymanowski w wymienionym już Tygodniku Ilustrowanym opisuje podróż, którą odbył z Poznania 86 lat temu i dotarł przez Mysłówice do Krynicy.

Nie zrażaj się człeku nie wygodami, jakie mogłyby cię spotkać w podróży. Kolejka galicyjską dostaniesz się przed północą do Bochni; bryczka, którą zważ tutaj fiakrem odwozi cię za miasto na pocztę, a dwie czteroosobowe karetki o pieruszej po północy i o szóstej z rana odchodzą stąd do Krynicy. Konie dobre, jazda prędka przenosi cię przez góry, idące od samego Wiśnicz, a pięć stacji pocztowych czyli mil trzynaście przejedziesz niepostrzeżenie w przeciągu czternastu godzin. Opłata 5 reńskich 10 centów.

Podróżnik, który dostał się wówczas do Krynicy musiał siedzieć w kurnej chacie opłacając po 2 dukaty tygodniowo. Kapiel i łazienki były takie, iż wodę przyniesioną ze źródła ogrzewano w wannie rozpalonymi do czerwoności łamieniami bez oglądania się na termometr.

W zapiskach krynickich jest mowa o pewnym hreczkosieju, który przybył do Krynicy, a mając wziąć 60 kąpiei wziął je w dni sześć, siedząc po 10 godzin w wannie. Oczywiście jadł i pił w wannie. Podobno biedak śpieszył się na żniwa do domu...

Tak to wyglądały kochane, dawne wczasy...

Fr. HRYNIEWICZ



Oryginalność zademonstrowanego ostatnio w Los Angeles samochodu polega na tym, że zamiast kierowcy posiada on dwie dźwignie. Wyeliminowanie kierowcy o tradycyjnej formie jest bezpieczniejsze dla szofera w razie wypadku.

CZŁOWIEK —



„Najważniejsze, żeby nie nastąpić na czarne...”

ISTOTA NIEZNANA

Rozwiązanie nie tylko krzyżówki

Nagrody książkowe za poprawne rozwiązanie krzyżówki (u dołu) z dnia 6 bm. wylosowali:

Z Poznania: J. Pralat (ul. Chwałiszewo 67), K. Spieszalska (ul. Hibnera 15), M. Nowak (ul. Kanałowa 14) oraz P. Majchrzak z Sobiesieni, O. Jęsa z Puszczykówka, A. Mikołajewski z Dobrzyca i J. Stankowiak z Włoszakowic.

Bardzo przepraszamy Czytelników, którzy nadesłali odpowiedzi na odgaśnięcie zdjęcia („Znacie? No, to odpowiedźcie!”), z dnia 29 VI br. Zapomnieliśmy bowiem podać rozwiązanie w ubiegłą niedzielę. Oto ono:

Zdjęcie przedstawiało fragment ulicy Niedziałkowski. Nagrody w postaci książek otrzymują drogą losowania: B. Baloniak (ulica Dzierżyńskiego 126), T. Januchowska (ul. Sikorskiego 34), E. Ogrodowska (ul. Chłapowskiego 9), H. Bujałkiewicz (ul. Głogowska 104) oraz Wł. Chłoszczyński (ul. Dąbrowskiego 36).

K	A	R	E	S	O	R	K	A	N
O	U	M	A	G	E	R	A	I	
L	A	M	P	A	A	K	A	N	T
E	B	A	K	A	R	A	T	K	
C	Z	A	R	G	R	A	S	A	
E	A	G	A	T	A	E			
S	T	A	W	W	K	A	R	P	
A	P	A	R	A	S	O	L	N	
P	I	A	N	O	Z	N	A	K	I
E	S	T	Ł	O	S	A			
R	O	Z	G	A	K	R	Z	A	X

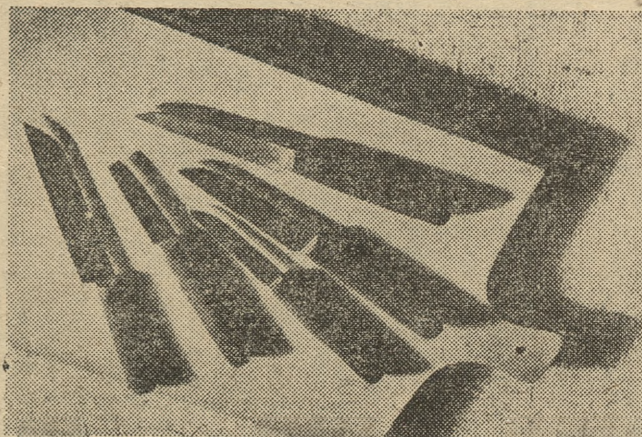
„Jeden, dwa, trzy, cztery... Jeśli wypadnie cyfra parzysta, uda się, jeżeli nie — będzie trudniej...”



— Popatrz kochanie, jak śliczny kostium.



„Wstanę punktualnie o siódmej, ani minuty wcześniej...”



Pięć pięknych noży — a jednak „najlepszym” jest właśnie ten z odłamanym końcem...

KRASZEWICE — znajdują się wprawdzie poza granicami województwa, ale wspomnieć o nich nie zawadzi ze względu na powiązanie z Grabowem nad Prosną i z Ostrzeszowem. Starosta z Grabowa — Zaremba, dokuczał i lżył właściciela kuźni w Kraszewicach, chłopca — Pawła Rostoga. Ten ostatni zaskarżył szlachcica (1605 r.). Gdy jechał na rozprawę do Ostrzeszowa, Zaremba najechał jego obejście gospodarskie, Zabrał 4

woły, a w r. 1612 Zaremba najechał drugą kuźnię, należącą do Rostogów w Głuszynie. Połknął wdowę Rostoginę, spalił 400 korbów żyta, 200 korbów owsa, 20 wozów siana i zniszczył całą warsztat kuźniczy. Nie ukontentował się jednak tym zwycięstwem, gdyż zabrał resztę dobytku, a robotników kuźni zamienił w swoich poddanych.

ŁAD w powiecie słupskim. Ponoć, wobec

Jak wyglądałby świat rządzony DZIŚ przez Hitlera

Zachodniemiecki „Muenchener Illustrierte” opublikował (opierając się na dokumentach z lat 1935—1945) ciekawe szczegóły „planów perspektywicznych” Hitlera.

Na całe szczęście plany te wzięły w łeb w roku 1945. Bo — w ten sposób miał wyglądać świat po zwycięstwie Hitlera:

Europa miała składać się oczywiście z „Tysiącletniej Rzeszy” oraz tzw. „samodzielnych państw, jak Ukraina, Francja (petainowska), Burgundia (degrelowska), Holandia oraz Finlandia, która miała otrzymać część Szwecji. Oczywiście — istniałyby również Włochy Mussoliniego. Tereny Europy wschodniej aż po

Ural należałyby do Niemiec, Azja — do Japonii; Afryka — do Włoch. W miejscu Moskwy miało powstać olbrzymie sztuczne jezioro, a Warszawa, Leningrad i inne miasta miały być zrównane z ziemią.

Około 30 milionów Słowian miało powędrować do komór gazowych. Reszta pracowałaby dla „Herrenvolku” jako niewolnicy (dosłownie). „Wystarczy, gdy będą rozpoznawali znaki drogowe, znali nieco niemiecki, a z geografii — tylko to, że Berlin jest stolicą Reichu” (Hitler); „wystarczy, gdy będą umieli liczyć do stu” (Borrmann) — oto „program edukacji” dla Słowian.

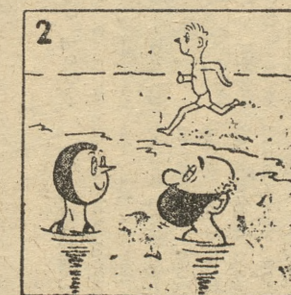
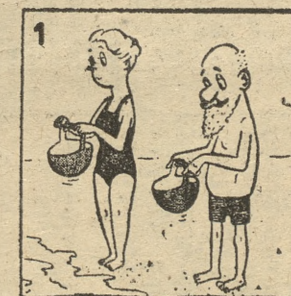
Oczywiście — Żydzi zostaliby zupełnie wyćpieni, a Murzyni amerykańscy — wywiezieni na Madagaskar, który miał być jednym wielkim obozem koncentracyjnym. Stany Zjednoczone byłyby rządzone przez Hitlera wspólnie z Japonią.

Nie brak wśród tych planów również gigantycznych pomysłów, które miały świadczyć o potęgzie i niezniszczalności hitlerizmu. A więc przewidywano wybudowanie olbrzymich budowli w Berlinie „które można by porównywać tylko z budowlami starożytnego Egiptu, Babilonii lub Rzymu”. Pierwszym okazem „wspaniałości ery hitlerizmu” był zamek Wawelsburg koło Paderborn, rozbudowany w latach 1933—44 kosztem ok. 20 milionów marek. Zamek ten, oprócz luksusowych pomieszczeń dla Hitlera i jego świty, zawierał kwatery dla przyszłego „zakonu SS”, który miał wychowywać „najwierniejszych synów”. Zakon ten miał powstać po wygraniu wojny. Oprócz niego w Wawelsburgu przewidziano 50 pokoi dla tzw. „Hohe Frauen” (wysokich dam). Tak to tytuł miały otrzymywać troskliwie pod względem rasowym dobrane kobiety po ukończeniu specjalnej szkoły „wychowania i kultury”. Trzeba dodać, że dla szczególnie zasłużonych hitlerowców przewidziano specjalny przywilej posiadania dwóch żon!

Dziś te groteskowe „perspektywy” przyjmujemy jako ciekawostkę. Ale warto chyba pamiętać, co nam wszystkim groziło kilkanaście lat temu...



Rurki nadziewane...



Bez słów

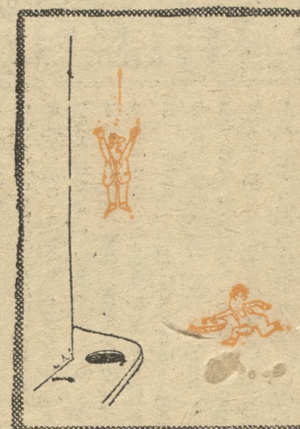
Nowości z kraju i ze świata

Pracownicy moskiewskiego biura konstrukcyjnego aparatury do wierceń naftowych wyprodukowali pierwszą w ZSRR przenośną stację sejsmiczną. Całą aparaturę stacji umieścić można w samochodzie osobowym marki „Pobieda”, w helikopterze, kutrze rybackim, lub samolocie. Można ją również przenieść ręcznie. Przy projektowaniu stacji uczeni radziecy wykorzystali najnowsze osiągnięcia z dziedziny radiotechniki.

Automobilowy przemysł czechosłowacki wypuścił na rynek małowitrazowe samochody, w których dodatkowy zbiornik na benzynę o pojemności 10 litrów, umieszczony jest w zapasowym kole.

Doktor Chart z uniwersytetu Lincolna w Nowej Zelandii stwierdził, że oddziaływując na tarzęcę u owiec środkiem chemicznym można uzyskać zwiększenie przyrostu wełny od 10,5—15 proc. Taki sam fakt można podobno uzyskać chowając owce przez 16 godzin na dobę w ciemnym pomieszczeniu i wypuszczając je tylko na 8 godzin na pastwisko.

Humor zagraniczny



Bez słów



— Obawiam się, że wsiedliśmy do niewłaściwego samolotu...



Najwyższy?

Plemię Dangów, zamieszkujące dżunglę w stanie Bombaj (Indie) szczęci się młodzieńcem, który jest, prawdopodobnie, najwyższym człowiekiem nie tylko w Azji, lecz na całym świecie. Matsu Kalu — bo tak nazywa się ów wielkolud — ma 2 m 37 cm wzrostu. Zdaniem lekarzy, Matsu Kalu choruje na „gigantyzm”, wywołany wskutek zbyt wielkiej aktywności gruczołów hormonalnych. Kalu ciągle jeszcze rośnie...

Za tłoczno...

Jean Laforet, latarnik z Bretanii, złożył prośbę o zwolnienie z zajmowanego dotąd stanowiska. „Lubię samotność — wyjaśnił on swym przełożonym — tymczasem w promieniu 200 mil ustawiono dwie nowe latarnie morskie. Robi się stanowczo zbyt tłoczno”.

Skutek przeciągu?

Express Londyn — Edynburg zatrzymał się niedawno w szczytnym polu na terenie hrabstwa Thumberland. Zaniepokojonym pasażerom wyjaśniono, iż nie się stało, jedynie maszynista zgubił tutaj poprzedniego dnia swą sztuczną nogę i obecnie zamierza odnaleźć zgubę. Po kilkuminutowych poszukiwaniach, w których wzięli udział również pasażerowie — sztuczną nogę odnalazł i express ruszył w dalszą drogę.

Nie wychylać się!

Zamieszkały w Sydney (Australia) Robert Owen, pomagając robotnikom przy wnoszeniu mebli do swego nowego mieszkania, tak mocno wychylił się z balkonu, że spadł z wysokości 5 m — na szczęście — do własnego łóżka...